BEZPŁATNY DODATEK.

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 2. Niedziela, dnia 19-go stycznia Rok 1913

MARYA ILNICKA.

ZEGAR NA WIEŻY BOŻEGO NARODZENIA.

PODANIE ŚLĄSKIE.

(Dokończenie)

A był to jej dom już niezaprzeczenie, bo nie żona do męża, ale mąż do żony się wniósł. W Bolsteinie było tak zasobnie i dostatnio, że mąż musiałby był wiele wydać, aby stary swój zameczek podobnie dla niej urządzić. Tem się przed nim zastawiła, żądając, aby on do niej jak na pokomorne przyszedł. Wspomnienia „tamtej" byłyby ją truły, gryzły; on zaś przystał, bo musiałby od niej pieniądze brać na wygody, których żądała.

I synka swego musiał też ze sobą tu zabrać. Bolało go to — bolało dziwnie! Nie kochał, nie cierpiał go prawie, przecież coś mu brało serce, jak gdyby w klaszcze, gdy go tu za sobą wiózł.

Ludzie z Czarnoborów przychodzili często — do panicza. Przynosili dziecku zabawki różne i podarki: pierwsze poziomki, złapane w owsie zajączki, jaja kraszanki. Ojciec silnie tego nie lubił, widział w tem plątanie się jakieś natrętne koło sieroty, ale coś, jak pamięć na utraconą matkę dziecka, nie dała mu huknąć na tych ludzi i odpędzić ich. W Bolsteinie wszyscy mówili po niemiecku, i Staś także się już języka tego nauczył, bo był bardzo pojętny, ale do ojca zawsze po polsku się odzywał, co sprawiało, że i on musiał tak do niego mówić; a była aż dziwną ta odmienność zawsze, zawsze zachowywana, i pan Stanisław gniewnie to odczuwał. Widział w tem upór, który mu w sumienie jak gdyby gwoździe wbijał, podejrzewał (niesłusznie) podmowę czyjąś, nieraz też brwi groźnie marszczył, chcąc ostro na malca krzyknąć, dlaczego to czyni? ale coś mu usta wiązało. Gdy chłopię na niego spojrzało szafirowemi oczyma, widział jak gdyby matkę jego i... nie mógł.

Była między ojcem a dzieckiem jak gdyby walka jakaś miłości i nienawiści, bo były chwile, że te sierotę swoją pan Stanisław czasami kochał namiętnie, a znów syn, który się ojca tak dziwnie trzymał, jak gdyby przebywał tu z nim w jakimś obozie nieprzyjacielskim, gdzie oni dwaj obcymi byli, miał też czasem na niego takie samo jak on brwi zmarszczenie, u dziecka szczególne. Pan Stanisław myślał, jak naukę syna urządzić, gdy naraz zobaczył u niego elementarz polski. Syn mu go przyniósł, żądając, aby mu pomógł jakąś zgłoskę złożyć, a ostro spytany, skąd go wziął, usłyszał odpowiedź, że książeczka ta z obrazkami, to prezent, który mu przynieśli z odpustu „ludzie". Tak nazywał włościan z Czarnoborów i ojciec zmarszczył się, słysząc odpowiedź, ale zmarszczył się i syn.

— Tato... powiedz mi, jak to trzeba złożyć... — rzekł, a ojciec jakoby mimowoli pochylił się i przesylabizował synowi, co chciał.

Staś prawie codzień przychodził tak do ojca z książką i zapytaniem, a on uczuł się nagle zabobonnym.

— Czy to czyni dusza matki? — pytał się siebie prawie przelękniony przed tem dzieckiem i tą książczyną biedną z jakimś trochę kulawym Adamem i Ewą w raju, z jakimś aniołem o krzywej twarzy, który dobre dziecko do nieba niesie.

Nagle stał się dramat rodzinny. Staś wybił swego przyrodniego brata, i wcale nie lekko. Macocha uderzyła w krzyk, w żale; winowajca, wezwany przez ojca, stawił się prawie hardo, bez żadnego uznania winy swojej. Kurt czy wybrał z jakiegoś nisko umieszczonego gniazda makolęgwy, młode pisklę, czy mu je ogrodniczek który dał, dość, że je posiadał, a Staś mu je wydarł i w dodatku prętem wybił, lecz przed trybunałem ojcowskim śmiało stanął:

— Nie dałem mu żywcem skubać polskiego ptaka — rzekł — odebrałem go i puściłem.

— Polskiego ptaka! — krzyknął ojciec — głupi jesteś!...

— Tu ptaki są polskie — odparł malec nie zmieszany. — Wybiłem go, że je chciał męczyć.

— Głupi jesteś! — powtórzył ojciec uniesiony, ale syn potrząsnął głową i podniósł na niego oczy szafirowe.

— Wiem, że tak jest — odparł. — Słucham, jak śpiewają i wiem... Nie dam ich męczyć Kurtowi — dodał — nie jego są...

— A czy twoje?...

— Tak, moje...

Mars syna spotkał się z marsem ojca, który jednak nie dał żonie zamknąć Stasia za karę do ciemnej komórki. Nazajutrz rano odwiózł go do Wiednia na naukę. Chciał go pomieścić gdzieś bliżej, ale powiedział sobie, że trzeba raz skończyć z głupstwami, któ

re tu przez ludzi z Czarnoborów wbijają się w głowę dziecka.

Sześć lat nie było Stasia w domu; tylko ojciec kilka razy do niego pojechał, ale na wakacye brać go nie chciał od owego sporu z żoną, która przytem raz pierwszy powiedziała mu gorzko, co czuła, że nie kocha on ani jej, ani dzieci swych młodszych, że ożenił się z nią bez miłości!

Do Czarnoborów przywozić go też nie chciał, przez dumę inną i trzymał go lat tyle samotnego, w oddali, tęskniąc do niego, kochając go, nienawidząc go... nienawidząc tego, co było kością o razy między niemi, uporem, jak wciąż mniemał, podmawianym. Tego i działającej tu idei, którą też nazywał głupstwem, zaczął — może dla cierpkości napełniającej mu serce — nienawidzieć codzień silniej, i codzień silniej stawając się ostrym, surowym, przykrym dla wszystkich naokoło. Synowie młodsi bali go się jak ognia, a on za to tchórzostwo gardził niemi, patrzał na nich jak na małych brzydkich psiaków, żona zaś to widząc, zgadując to, czuła się codzień nieszczęśliwszą. Żółkła, jak cytryna.

Po sześciu latach musiał jednak syn do ojca wrócić, bo szkołę, do której był oddany, ukończył. Miał rok szesnasty; ojciec powiedział sobie, że dalej będzie go kierował taką drogą, jaką sam szedł, ale przy powitaniu nic nie mówił o tem. Gdy Staś przyjechał, przyjął go chłodno, aby się nie zdradzić, że pierś podnosiła mu sie wzruszeniem nieopisanem. Spojrzał na niego, potem na dwóch młodszych, i skrzywił mu usta uśmiech szyderczy. Pięknem potomstwem była druga linia Czarnoborskich!...

Syn poprosił ojca, aby mu pozwolił mieszkać w Czarnoborach, a jego to ukłuło srodze. — Nie czuje dla mnie nic... — powiedział sobie z goryczą i prawie oskarżył o to tego ducha, który może nie dawał synowi ułożyć się sercem i myślami po woli ojcowskiej.

Pozwolił, ale uczuł od tego czasu do ludzi z Czarnoborów nienawiść głuchą, złączoną z zazdrością jakąś dziwną. Oni go tam obstąpią, oni go tam będą hołubić, cackać: — A panicz nasz.. nasz panicz jedyny!... -I robak żalu, czasem zgryzoty, czasem złości niewytłómaczonej zaczął toczyć mu serce, jak czerw drzewo; zabrał się nagle do gospodarstwa zajęcie, to jest z wrzeniem głuchem burzącego się w nim gniewu. Zajeżdżał konie, objeżdżając pola, lasy, patrząc wkoło argusowemi oczyma, jak gdyby chciał schwycić kogoś na złym jakimś uczynku, który dałby mu możność wybuchnąć na zewnątrz, i na nieszczęście sposobność nadarzyła się po temu. Złapał raz w szkodzie, to jest w koniczynie swojej, parę wołów gospodarza z Bolestowa. Koniczyna kwitnęła właśnie, zapach jej musiał mieć taką moc przynęcającą, jak naprzykład przypieczona słoninka, na którą biedne myszki łapią się w pułapki i woły przebyły bezprawnie miedzę graniczną — poszły ucztować na pańskiem polu i zostały nagle wzięte za to do niewoli.

— Złodzieje wy wszyscy! — krzyknął głos gromki na wieśniaka, chylącego się z przeproszeniem za szkodę i z prośbą o odpuszczenie winy. Czas był roboczy: woły te zwoziły z pola snopki żółtego właśnie żyta, a zbierało się na deszcz i nie krótki, bo go dawno nie było: zmokłe zboże mogło porość i biedny gazda prosił bardzo, bo w górach nie rodzi się zanadto, a zima długa, przednówek może być głodem.

Gazda jeszcze raz zgiął się przed panem: niech ludzie ocenią szkodę, on zapłaci... On na cudze nie dybie, lecz zwierz głupi nic nie wie, co moje a twoje... on przecież zapłaci...

— Precz! — zawołał pan Stanisław. Syn nie był u niego dwa dni, żona mu wymawiała, że był ostrym dla Kurta, więc krzyknął na proszącego: Precz.

Kazał mu przyjść jutro o te czasy, ale biedny gazda nie ruszył się z miejsca i podniósł na pana oczy żałosne. Para wołów... to jego majątek! Niech jeden zdechnie z głodu, a on stanie się nędzarzem, bo nie prędko zbierze grosz na kupienie drugiego.

— Ach, panie... — westchnął — wolałbym ja sam karę cierpieć.

— Pościć w miejsce wołu — zaśmiał się pogardliwie pan Stanisław. — Zgoda... przystaję.

Przypomniał sobie za wojskowych czasów widzianą u Słowieńców karę, którą wymierzał na lud biedny ostry pan niemiecki. Zalewał on na czas jakiś ogień na domowem ognisku winowajcy i biedactwo, żyjące w chacie, było pozbawione gotowanej strawy tak długo, jak naznaczonem było to pokutowanie, bo dym wznoszący się z komina byłby zdradził przestępstwo. Pan Stanisław był dziś rozdrażniony i pełen goryczy. Prócz tęsknoty za starszym synem miał dziś z żoną przykre przejście o drugiego i jakaś piekielna złość podsunęła mu dziś pamięć owego barbarzyńskiego znęcania się nad biedą ludzką. Wół został wypuszczony, lecz za gazdą, który go wprowadził do domu na powrośle o rogi zaczepionem poszedł pan.

Daleko ode wsi, pod lasem za łąkami, w pustem, mokradłami otoczonem miejscu stała samotnie mała chałupina i tam to ogień miał zagasnąć na dobę całą. Uparta febra męczyła tu ludzi, gazdzina, szczupła, wynędzniała kobieta, karmiła dziecko i gdy musiała podać panu szkopek wody do zalania ognia, przy którym gotowała się uboga wieczerza jej dzieci i męża, zapłakała.

— Niech aby dogotują się ziemniaki — prosiła łkając, i schyliła się do nóg pańskich, gdy nagle wszedł do chaty Staś.

Jechał konno do ojca, jechał zwolna, patrząc i marząc; ojczysta przyroda podnosiła mu pierś tęsknotą miłosną, gdy ujrzał zdaleka ojca wchodzącego do chaty na gliniankach.

— A... — pomyślał — może tam kto chory, kto umiera i ojciec idzie ratować, żegnać...

Popędził konia, bo ogarnęło go wzruszenie żywe. Pragnął podnieść do ust rękę tego ojca, który jak brat z bratem szedł obok pochylonego smutnie gazdy i wchodził pod dach jego niskiej chaty, lecz cóż uczuł, gdy i on tam wszedł?

Schwycił rękę ojcowską, ale po to tylko, aby ją zatrzymać w czynie nielitośnym.

— Ojcze! — wołał — ty nie wiesz, co czynisz! Świętą iskrę Żnicza, iskrę życia i ciepła zalewali Niemcy na ogniskach ludów słowiańskich, ale ty tego nie zrobisz...

Prosił, błagał. Twarz mu płonęła, w oczach zbierały się łzy, bo był chłopcem jeszcze i nie umiał ukryć w piersi cierpienia, ale to właśnie co mówił, i że to mówił on, namiętnie wzburzyło ojca. Wydarł mu rękę i z przekleństwem niemieckiem na ustach trysnął strumieniem wody na ogień.

Zasyczało — zaskwierczało coś w popiele, który buchnął do góry chmurą pyłu, gdy razem wzniósł się z zalanych głowni czarny, gryzący dym. Uchodził to tak Żnicz — słowiański bóg iskry świętej...

Staś skoczył do drzwi, skoczył i uciekł od ojca. Nawet konia nie wziął, bo koń ten był ojcowski.

Uciekał nie drogą, ale na przełaj przez łąki, pola... do Czarnoborów, w góry, w lasy!...

I nie wrócił już więcej, już go więcej nie oglądały oczy ojcowskie. Ludzie mówili, że przebywał niedaleko, w Starych Czarnoborach, jednak nie wrócił... nie wrócił do ojcowskiego domu, do pocałunku ręki ojcowskiej, której też nie dotknęły już usta zacne, bo dla młodszych synów stał się teraz ten człowiek, któremu serce jadła zgryzota, tyranem dzikim i srogim. Zaczął ich naraz musztrować, hartować, prostować krzywe ich nogi i szydził z nich, urągał im, gardził niemi w oczy, aż malowany dwór w Bolsteinie stał się piekłem, bo matka występowała w obronie dzieci. Raz przecież przyszło tam do sceny strasznej: ojciec [illegible] ał własnych swych synów od po[illegible] niemieckich i kazał sobie natychmiast osiodłać konia, którego ściągnął dziko uzdeczką i po[illegible] w stronę Czarnoborów, a ludzie szeptali między sobą, że już stamtąd nie wróci.

I nie wrócił. Już za lasem, już na czarnoborskim gruncie koń się rozbiegał i ponosząc go, przeleciał z nim ulicę wsi, jak gdyby był szatanem wcielonym, wpadł na dziedziniec dworski, aby rzucić jeźdźca przed stajniami.

Podniesiono go, zaprowadzono do pustego zameczku. Złamanego nic nie miał i tylko krew rzucała mu się gwałtownie ustami; że jednak zakazał, aby nie dano znać o wypadku żonie, ułożono samotnego na zasłanem naprędce łóżku. Baby wiejskie naznosiły mu poduszek i kilimków na okrycie i nie wzdragał się ich przyjąć.

Już nie wstał z tej pościeli. Umarł w nocy, a raczej nad ranem, gdy świtało, a czy nikt z bliskich mu istot nie był przy nim, nie przyjął ostatniego jego tchnienia — różnie o tem mówiono. Chodził po okolicy szept, że Staś znalazł się w nocy przy ojcu, że otrzymał przebaczenie i błogosławieństwo i był przytomnym przy spisaniu jego ostatniej woli, która na drugi dzień znaleziono na stole, opieczętowaną herbową pieczęcią Czarnoborskich. Dość znaczną gotówkę, którą posiadał, oddawał Czarnoborski na dział synów młodszych. Nowe i Stare Czarnobory dostawały się starszemu, a kuratorami tego spadku w niebvtności dziedzica uczynił umierający gromady tvchże wsi.

Że zaginiony jednak żył, że był gdzieś blisko, dowiodło to ludziom, że w noc wigilijną zegar na wieży bił i bije dotąd.

Zameczek jest już ruiną i tylko wieżyczka z zegarem — zwana w okolicy Wieżą Bożego Narodzenia, dźwiga się dotąd i ród Czarnoborskich dotąd też istnieć musi, bo wyroczny on zegar nie stanął. O każdej nocy wigilijnej lud wsi okolicznych i biedny lud z dolnego już podgórza nasłuchuje tych dźwieków, i gdy je usłyszy, mówi sobie radośnie: Czarnoborscy jeszcze są... nie wymarli...

Wpłynęli w lud, wnosząc tam ze sobą wszystkie stare tradycye swych najdroższych, które są odkupieniem tych rodów ciężko grzesznych: płochych, marnotrawnych, nie umiejących utrzymać się przy gruncie starym i których jedynem win złagodzeniem jest to, co z ust Chrystusowych dały rozgrzeszenie Magdalenie grzesznicy — iż wiele kochali.

Marya Ilnicka.

Osieł w tryumfie.

Legenda.

Do Betleem na popis ludności przybyła i Marya z Józefem staruszkiem. Dwoje ich jeno, ale niebawem ma ich być troje. Chodzą od chaty do chaty — proszą o jaki kącik pod strzechą, a nikt ich nie chce pod swoje przytulić poddasze — bo biedni.

Wreszcie za miastem pozwolił im żyd jeden zamieszkać w swych szopach. Cóż miała począć święta Panienka? Musiała w szopach zamieszkać.

Różne były tam szopy — różne w nich mieszkało bydełko: rogate i nierogate, racicowe i kopytkowe, uskrzydlone i bezskrzydłe.

Psy stały na straży, ale psy były dziś grzeczne.

Święta Panienka wybrała szopę, gdzie stały rumaki.

— Śliczne stworzenia — myśli Panienka — ogień tryska im z oczu, ogniem z nozdrzy parskają, różna rasa, maść różna. — Będzie miał co podziwiać, będzie się miał czem bawić mój Jezus maleńki.

Ale niedługo trwał zachwyt Panienki. Ustawiczne parskanie i rżenie i tupot rumaków odbierały sen ślicznej Dziecinie. Uciszała je Panna, głaskała, prosiła — nic nie pomogło. Rada nierada, musiała zabrać Bożą Dziecinę, i do innej przenieść się szopy.

Rumaczej rasie na karę nigdy potem Chrystus nie wsiadł na konia.

Było w pobliżu poddasze — spokojne przytulisko wołu i osła — tam się przeniosła święta Rodzina.

Spokojni obywatele swej szopy ucieszyli się bardzo, kiedy wśród siebie jasną zobaczyli Dziecinę. Uklękli koło Pana, a że to był czas mroźny, swym chuchem Go grzali. I była tam cisza i spokój, przerwane tylko raz jeden jedyny — przez osła — kiedy ten, rozczulony nad Panem, rzewnie zabeczał nad jasełkami.

Ale bo i jakże się nie miał osieł nad jasełkami rozczulić, kiedy w tych jasełkach Jezus malusieńki leży nagusieńki — płacze z zimna — nie dała Mu Matula sukienki.

Nie dała, bo nie miała — sianem Go tylko nakryła. Ze siana ma Jezus posłanie, ze siana wezgłowie, i nakrycie ze siana.

I tak mieszkali razem czas długi — w pokoju i zgodzie. Wół oczy wytrzeszczał, a osieł się dziwił, gdy cuda oglądał i słyszał. A wiele ich widział i słyszał. Słyszał z nieba muzykę i anielskie pieśni. Widział Anioły — gwiazdę na Wschodzie — Trzech Króli i złoto. Wąchał kadzidło i mirę.

Biedne oślisko! Tak mu to wszystko zawróciło głowę, że raz w nocy, gdy wół już na oba spał oczy, osieł — nie wiem — w rozmarzeniu, w roztargnieniu, czy zapomnieniu, we śnie czy na jawie, dość na tem, że — zjadł wszystko siano, którem był okryty i na którem spoczywał Jezus maluśki.

A Jezus maluśki — choć Mu w gołym żłobie twardo i zimno — nie płacze, bo nie chce swej Matuli snu słodkiego przerywać.

Nadszedł poranek — zaświtały zorze — zaćwierkały wróble — zbudził się Józef — zbudziła Panienka. Jej pierwsza myśl: Jezus — Jej oko szuka Jezusa, — a Jezus tak głęboko w żłób zapadł, że Go nawet nie widać. Panienka biegnie do żłobu, a tam Malusieńki takie ładniutkie wyciąga do Niej rączęta, jak te promienie słoneczne — a tak się mile uśmiecha, jak to słoneczko co wschodzi.

Mateńka tuli Dziecinę do serca — na sercu ogrzewa — pieści — przeprasza. A zwróciwszy się do osła, w te na pokutę skazuje go słowa:

— Oj ośle, ty ośle! żarłoczny ty zwierzu! Iżeś tę krzywdę uczynił Jezusowi mojemu, będziesz się żywił wszelkim burzanem i chwastem, bodjakiem i ostem — a nie nasycisz się nigdy.

Osieł się wstydzi, i nie śmie oczu podnieść od ziemi.

A Jezus wejrzał nań okiem łaskawem, i rzecze:

— Oj ośle, ty ośle! pokorny ty zwierzu! W mym tryumfalnym do Jeruzalem pochodzie ty udział mieć będziesz.

I wziął osieł udział w tryumfie Chrystusa, ale nasycić nie może się nigdy.

SĄSIEDZTWO.

Złemi są: wojna, głód, mór, ale gorsi źli sąsiedzi — mówi przysłowie. Mądre te słowa wypowiedziane były dawno przez naszych przodków, którzy dobrze rozumieli, co to znaczy zły czy dobry sąsiad, często pomagali owym sąsiadom w biedzie, a często i na własnej skórze to sąsiedztwo odczuwali.

Każde sąsiedztwo ma ogromne znaczenie, bądź w życiu politycznem, bądź też społecznem lub towarzyskiem. Każde państwo kulturalne stara się, ażeby z sąsiadami żyć zgodnie i w sposób łagodny załatwia niesnaski, często nawet parę państw ościennych zawierają ze sobą sojusz czyli przymierze, które zobowiązuje ich nietylko do zgody, ale i do pomocy w razie niebezpieczeństwa jednego z nich. Wiadomo, że przy takiej zgodzie i przemysł, i handel, i gospodarstwo tych państw rozwija się bez przeszkód, wśród mieszkańców zaś kwitnie szczęście i dobrobyt.

Nietylko jednak takie, ale i także inne zgodne sąsiedztwo nigdy nikomu na złe nie wyszło. Miła i chlubna jest zgoda sąsiednich wiosek, chwalebna też jest życzliwość sąsiedzka, mieszkających obok siebie, gospodarzy. Pomagają oni sobie nawzajem w robocie, na czytanie i pogawędkę też się zejdą razem po pracy.

Nie wszędzie jednak tak jest dobrze i dziś, niestety, owa przyjaźń sąsiedzka jest krucha i nietrwała. To sąsiedztwo — zbratanie się ludzi, ten symbol miłości bliźniego, zostały zachwiane, zakłócone, a nawet zupełnie wyrzucone z serc naszych. W każdej prawie wiosce mamy dziś wypadki skaleczeń, szkód i nawet zbrodni między sąsiadami. Nieraz o byle głupstwo sąsiedzi tak się na siebie zawezmą, że jeden drugiego w łyżce wody by chciał utopić, przeklinają i złorzeczą sobie przy każdej sposobności, o byle co skarżą się do sądu, wyrządzają sobie szkody w polu i w budynkach. Zdarzają się nawet wypadki, że jeden drugiemu w zapalczywości kaleczy bydło lub truje konie. Takie i tym podobne zbrodnie trafiają się coraz częściej, zło bowiem nie śpi i często bierze górę nad rozsądkiem człowieka: pozbawia go zdrowych zmysłów, czyniąc go narzędziem do wszelkich podłości.

Ale sąsiedztwo psuje się nietylko w świecie męskim. Kobiety, idąc w ślad za małżonkami, pomagają im w kłótniach i przy każdej sposobności o dzieci, o kury i różne drobnostki kłócą się, używając takich słów, aż obrzydliwość słuchać. Za rodzicami idą zwykle w ślad dzieci, kłócą się więc tak samo, biją lub zasypują sobie oczy piaskiem przy spotkaniu.

Każdy rozumie, że takie sąsiedztwo, to piekło prawdziwe, a życie w niem staje się męczarnią. O jakiej pomocy lub poratowaniu w biedzie mowy wtedy niema. Jedno drugiemu życzy tylko nieszczęścia, ciesząc się z sąsiedzkich niepowodzeń.

Smutne jest bardzo zrywanie węzłów sąsiedzkich, węzłów, które posiadają wielkie znaczenie w życiu społecznem. Bo, jeżeli węzły te są trwałe i mocne między pojedyńczymi ludźmi, to i węzły między sąsiedniemi wioskami, i między całem naszem społeczeństwem byłyby silniejsze; z tego wynika, że cały kraj nasz byłby silniejszym wewnętrznie i odporniejszym, gdyż moc jego utrzymywałyby przyjacielskie stosunki sąsiedzkie.

Wiemy, że „zgoda buduje a niezgoda niszczy“, zgoda więc potrzebna nam, bo „budowania“ mamy wiele. Ale zgoda ogólna nie może istnieć bez zgody poszczególnych przedstawicieli wiosek, gmin i klas. Gdzie sąsiad z sąsiadem lub wioska z wioską żyją, jak przysłowiowy pies z kotem, to miejscowość taka pogrąża się w ciemnocie i kraj pożytku z tego niema.

Zgoda więc i zaniechanie waśni sąsiedzkich jest obowiązkiem społecznym wszystkich dobrych obywateli kraju. *Adam Chetnik w „Zorzy“.*

Dla domu i gospodarstwa.

— **Dziesięć przykazań na zimę.** 1) Nie opuszczaj domu rano przed spożyciem śniadania.

2) Po spożyciu gorącego napoju, nie przesiaduj na chłodzie.

3) Nie opuszczaj ciepłego mieszkania przed dokładnem zapięciem ubrania tak, ażeby piersi i plecy były dobrze okryte.

4) Nie oddychaj na powietrzu ustami, lecz nosem, ażeby się powietrze chłodne, którem oddychasz, zdążyło ogrzać, zanim przedostanie się do płuc.

5) Bez względu na to, czy ci jest zimno lub ciepło, nie stawaj plecami do ściany lub pieca.

6) Podczas jazdy pociągiem nie wychylaj się przez okno.

7) Nie pozostawaj na chłodzie bez ruchu.

8) Będąc na wolnem powietrzu, mów o tyle, o ile rozmowa jest konieczna.

9) Nie zaniedbaj raz na tydzień udać się do kąpieli, oraz na pół godziny przed ułożeniem się do snu obmyć całe ciało ciepła wodą, gdyż skóra zanieczyszczona i nieposiadająca świeżości łatwo pod wpływem mrozu zamyka swe pory, wskutek czego organizm staje się skłonnym do chorób.

10) Nie kładź się nigdy do łóżka z wilgotnemi lub zimnemi nogami, jeśli chcesz uniknąć nocy bezsennej.

— **Figi jako lekarstwo.** Suszone figi są nietylko smacznym pokarmem, ale wywierają też leczniczy wpływ na żołądek i jelita. Dlatego powinni ich częściej używać ludzie, u których objawiają się niedomagania w czynności narządów wewnętrznych. Także cierpiącym na płuca i na katary można polecić jadanie fig. Bardzo skuteczny przy cierpieniach piersiowych, a zarazem pożywny napój jest napar zwyczajnego jęczmienia z 5 do 6 figami i garścią rodzynków. Dzieciom należałoby dawać fig tyle, ile tylko sobie życzą — zamiast cukru lub karmelków. Będą miały zdrowsze zęby przez to.